Nr. 2. We Lwowie dnia 20. Lutego 1872 **Rok VIII.**



Wychodzi dwa razy na miesiąc.
Kosztuje:
rocznie . . 4 złr. 40 ct.
dla szkółek 3 „ 30 „
Adres Lwów Nr. 35¹/₄

OPIEKUN DZIECI NASZYCH.

Dawne roczniki od I. do VII. razem 13 złr., i każdy pojedyńczo dla szkółek ¹/₄ mniej, tudzież wszystkie książki dla dzieci w polskim i francuskim języku dostanie w adm. Opiekuna.“

Pszczółka.

Bajka Ignacego Krasickiego.

Składała pszczółka na wiatr; ale to, podobno,
Chciało się żyć osobno.
Zgoła, jak się wyprawiła,
Przez trzy dni w domu nie była.
Cukier jej zasmakował; chciała się sposobić
Jakby go zrobić.
Choć się wiele pracowało,
Kiedy się to nie udało,
Pokryjomu wróciła do domu.
A szerszenie tymczasem
Bujając za lasem,
W ul się zakradły i miód jej zjadły.
I nie pszczółkom to bywa,
Kto ma, niechaj używa.
Chciwość żądzę podnieca,
Zbytnie żądze źle wiodą;
Dobry rozum po szkodzie,
Lepszy rozum przed szkodą.

Miód robić, miodu używać, przeznaczeniem jest pszczoły. Oto blisko masz łąki, na których kwiaty rosną dla ciebie. Tu przeznaczenie twoje, tu pole pracy; przerabiaj soki, których ci przyroda ziemi twojej dostarcza, wydoskonalaj utwory twojego przemysłu; zyskasz zaletę z użytecznego trudu, w którym ci nikt nie dorówna, i nagrodę znajdziesz w rozsądnej pomyślności twojej drużyny. Nieroztropna żądza nowości unosi cię po za granice działalności twojej właściwe; cudzego szukasz, swoje zaniedbujesz. W niepotrzebnem naśladownictwie stracisz czas i siły, bez nadziei dorównania wzorom, na których wytworzenie inne składały się warunki, dla ciebie niedostępne. Zmęczony daremną wycieczką, gdy wreszcie powrócisz na pole, któregoś nie powinien był opuszczać, znajdziesz je już zajętem i wyzyskanem przez przychodniów, którym własna twoja niedbałość drogę do zdobyczy utorowała.

Konfederacja tyszowiecka i Stefan Czarniecki.

Napisał A. K.

Panowanie króla Jana Kazimierza jest jednem z najnieszczęśliwszych w dziejach narodu naszego. Przez całe lat dwadzieścia swego królowania, nie miał Jan Kazimierz ani chwili swobodnej, jeżeli bowiem obcy najeźdca nie pustoszył ziem polskich, to kłótnie możnych panów między sobą i z królem tem srożej trawiły kraj i nie dozwoliły królowi uskutecznić szlachetnych zamysłów, jakich wiele podawał dla podźwignięcia kraju z upadku. Początkiem nieszczęść były wojny z Kozakami, których zbuntował Bohdan Chmielnicki. Przez lat cztery toczyła się krwawa walka z tymi niegdyś dzielnymi Polski obrońcami, a chociaż ostatecznie zwycięstwo na naszą przechyliło się stronę, to przecież Polska tak została osłabioną, iż możni sąsiedzi korzystając z tego, postanowili kraj nasz sobie przywłaszczyć.

Najpierw sięgnął po własność naszą car moskiewski Aleksy, i wkroczył w roku 1654 na Litwę w 100.000, a na Ukrainę w 40.000 wojska. Postradaliśmy wiele miast i zamków, i jeszcze nie przestały się dymić zgliszcza popalonych przez Moskali wsi i grodów, kiedy inny, daleko potężniejszy nieprzyjaciel z dobrze wyćwiczonem wojskiem napadł granice kraju naszego. Był nim król szwecki Karol Gustaw. Pragnął on najpierw zdobyć położone nad morzem Bałtyckiem polskie prowincje, a dalej wyzuć Jana Kazimierza z tronu i sam zapanować nad Polską.

Wstydem lica rumienić trzeba na wspomnienie, iż tego srogiego nieprzyjaciela, i to w takiem przykrem jak wówczas położeniu, naprowadził na Polskę własny jej syn, niecny zdrajca Hieronim Radziejowski, chcąc się zemścić na Janie Kazimierzu, do którego miał osobistą urazę.

Jak wilk w owczej skórze przybył Karol Gustaw do Polski. Zrazu ogłosił się przyjacielem, obiecując wypędzić z kraju Moskali i zwalczyć Chmielnickiego, pod warunkiem, jeżeli się Polacy wyrzekną swego króla Jana Kazimierza i jemu się poddadzą. Wielu łatwowiernych poszło za obietnicami obłudnika, i najpierw Wielkopolska, potem Sieradzkie, Mazowieckie i inne województwa polskie wyrzekły się własnego króla, i Szwedowi wierność i poddaństwo przysięgły.

Nieszczęśliwy Jan Kazimierz opuszczony od większej części narodu, musiał ustąpić ze stolicy i schronić się do sąsiedniego Szląska.

Karol Gustaw zajął Warszawę, a jego wojska resztę główniejszych miast kraju.

Teraz dopiero otworzyły się oczy łatwowiernych. Ten co obiecywał pomoc i przyjaźń, występował teraz otwarcie jako najeźdca, szerząc po kraju mord i łupiestwo. Już w Warszawie odarł z kosztowności pałac królewski i pod posadzką szukał ukrytych skarbów. Na drodze do Krakowa wojsko jego dopuszczało się rabunków i gwałtów. W Krakowie pomimo obietnic, odarto kościoły, zamieniono je w stajnie, rabowano domy prywatne i zamordowano dwóch kapłanów. Ze strachu przed srogością Szwedów, poddała się Karolowi Gustawowi i reszta dotąd wiernych swemu królowi ziem polskich.

Znalazł się przecież jeden mąż w Polsce, który nie złamał przysięgi wierności swemu danej królowi, i nie tylko nie poddał się Szwedom, lecz owszem broń podniósł w obronie swobód ojczystych. Mężem tym był starosta babimostki, Krzysztof Żegocki. Z kilkąset konnej szlachty, którą koło siebie zgromadził, uwijał się Żegocki już od września w Poznańskiem i Kaliskiem, wszędzie napadając na Szwedów. Wiodło mu się bardzo szczęśliwie.

Tymczasem i Pan Bóg ulitował się nad Polską. Widoczny cud nieba — Obrona Częstochowy — napełnił znękane klęskami serca nową otuchą. Maleńki klasztor OO. Paulinów w Częstochowie, otoczony słabemi murami, broniony przez małą garstkę szlachty i zakonników, oparł się oblężeniu Szwedów. Od dnia 18. listopada do 26. grudnia 10.000 Szwedów z 19 dużego kalibru armatami, dobywało maleńkiej twierdzy, której dowódcą był przeor księży Paulinów, ksiądz Augustyn Kordecki, a obrońcami 150 szlachty, kilkunastu mnichów i 6 małych armatek. Wiara w opiekę Najświętszej Panny, Patronki Polski, której obraz, od wieków cudami słynący, znajdował się w kościele częstochowskim, dodawała oblężonym odwagi, tak, iż pomimo niepodobieństwa obrony, wytrwali do końca i doczekali się sromotnego odstąpienia nieprzyjaciół od murów klasztoru, który dowódzca szwedzki Miller, z drwinkami „kurnikiem“ nazywał.

Wieść o cudownej obronie Częstochowy gruchnęła po całym kraju i wszystkich, najbardziej nawet upadłych na duchu, przejęła nadzieją lepszej przyszłości. Zdzierstwa Swedów i poczucie hańby narodu dokonało reszty. Ufność w opiekę Najświętszej Panny napełniła serca wszystkich, cały kraj zapragnął stanąć do walki i wypędzić najezdnika.

Oprócz Krzysztofa Żegockiego roznosił już od niejakiego czasu najsłynniejszy wówczas bohater Stefan Czarniecki, postrach w szeregi szweckie. Nie toczył on walki otwartej, bo nie miał na tyle sił, lecz z małymi oddziałami ciągle napadał na obozy nieprzyjaciół i zawsze ich gromił. Sława

jego imienia i czynów przechodziła z ust do ust. a mnóstwo ochotników spieszyło zasilać jego szczupłe zastępy.

Tymczasem cały naród poczuł się w swej sile i zapale.

Hetmani Stanisław Potocki i Lanckoroński wraz z innymi możnymi panami zwołali zebranie do miasteczka Tyszowiec, i na dniu 29. grudnia 1655 roku ogłosili tak zwaną konfederację czyli wzajemny związek. obowiązując się do przywrócenia na tron Jana Kazimierza i wypędzenia Szwedów z kraju.



Ogłoszenie konfederacji tyszowieckiej. *)

*) Załączony drzeworyt jest przerysowany z olejnego obrazu zdolnego malarza naszego Walerego Eliasza. Mylnie przedstawia na nim malarz Stefana Czarnieckiego, jakoby wzywającego zgromadzonych w Tyszowcach do zawiązania konfederacji. Podczas jej ogłoszenia nie znajdował się tamże Stefan Czarniecki, uwijał on się wtedy po kraju za Szwedami. Później jednakże z przyczyny, iż najdzielniejszym wykonawcą postanowień konfederacji był Stefan Czarniecki i on wyłącznie prawie swą dzielnością przyczynił się do wypędzenia Szwedów, przypisywano jemu zasługę utworzenia kon-

Na wieść o związku tyszowieckim pospieszył wygnaniec król Jan Kazimierz ze Szląska do Polski. Najpierw stanął w Lubowli na Spiżu, a przeprowadzony przez Jerzego Lubomirskiego do Krosna, stanął dnia 21. stycznia 1656 roku w Łańcucie. Ztąd wydał odezwę do kraju, wzywając wszystkich do działania: „jedną wolą i jednem sercem.“

Naczelne dowództwo objął Stanisław Rewera Potocki i Stefan Czarniecki.

Za wojskami koronnemi i za szlachtą powstały tłumy włościan. Wsławiony Krzysztof Żegocki zgromadził włościan Wielkopolskich, a Jerzy Lubomirski rozwinął ruch powstańczy na Podgórzu i w Karpatach; włościanie z jego dóbr, a szczególnie Górale tatrzańscy cudów waleczności dokazywali. Mieszczanie z Nowego Sącza pod dowództwem Felicjana Kochowskiego i włościanie z Nawojowy pod Wąsowiczem wycięli załogę szwecką i wypędzili wroga z nad brzegów Dunajca. Litwin Wojniłowicz także dowodził oddziałem włościańskim.

Za króla Łokietka prowadząc go na tron, i za Jana Kazimierza niemniej w jego pokrzywdzonych praw obronie, po dwakroć w dziejach naszych chwytają włościanie za broń i przelewają krew wspólnie ze szlachtą w obronie Ojczyzny!

Konfederacja tyszowiecka powołując wszystkich synów Ojczyzny do wspólnej obrony, zmazała w części przynajmniej winę zdrad Radziejowskiego i innych i jasno udowodniła, że każdy Polak, czy to w kontuszu czy w siermiędze, gotów jest w razie niedoli Ojczyzny przelać za nią ostatnią kroplę krwi.

Król Jan Kazimierz natchniony wrażeniem cudownej chwili, patrząc co się dzieje, a szczególnie radując się widokiem tłumów włościan, którzy w jego i Ojczyzny obronie chwycili za oręż, wydał odezwę wielkiej doniosłości.

Było to we Lwowie dnia 1. kwietnia 1656, dokąd król się udał dla zebrania pospolitego ruszenia. Odprawiono wielkie nabożeństwo w kościele katedralnym przy zgromadzeniu wielu panów, mieszczan i okolicznego ludu. Wysłannik Ojca św. celebrował mszę św. przy wielkim ołtarzu, nad którym wisiał cudowny obraz Boga Rodzicy.

Przed samem Podniesieniem król Jan Kazimierz powstał z tronu i uroczyście ślubował:

„Boga Rodzicę obrać za Patronkę i Królowę Rzeczypospolitej, i pod Jej szczególną opiekę oddawał wojsko i wszystkie ludy polskie, obiecał cześć Jej Imienia szerzyć po wszystkich ziemiach“.

Poczem te dodał słowa:

„Gdy zaś z wielką boleścią ducha postrzegam płacz i ucisk ludu, ślubuję, że po otrzymanym pokoju, wraz ze wszystkimi Stanami wszelkich środków użyję, by lud mój polski od uciążliwości niesłychanych i ucisku wyzwolić.“

Tak więc sprawa włościan obok wyzwolenia Ojczyzny od najazdu Szwedów, miała być owocem konfederacji tyszowieckiej. Wywołane przez nią czyny bohaterskie narodu, imiona takie jak Stefana Crarnieckiego, Krzysztofa Żegockiego, księdza Augustyna Kordeckiego, Stanisława Potockiego, Lanckorońskiego i innych, a przytem tak wzniosłe śluby króla Jana Kazimierza we Lwowie, oto owoce zapału w roku 1656 wywołanego nieszczęściami Ojczyzny, najechanej i niszczonej przez Szwedów.

Nie stało się wprawdzie nic z obietnic królewskich dla ludu, bo szlachetne zamiary, kochającego całem sercem Ojczyznę, tylko nieszczęśliwego Jana Kazimierza, potrafili później zniweczyć przewrotni i chciwi ludzie, którym nie o dobro kraju, lecz raczej o własny chodziło interes. Posiadając rozległe dobra, nie chcieli wieśniaków wyzwolić z poddaństwa;—ciężka praca ludu na niwie dworskiej, z której ogromne dochody obracali na zbytki i zabawy, więcej ich nęciła, niż świetność i dobro Ojczyzny. Gdyby można szlachta była wówczas przyczyniła się do ślubu króla we Lwowie uczynionego, gdyby zresztą była oceniła zasługi wieśniaków w wypędzeniu Szwedów z kraju, o zapewne nieszczęśliwy Jan Kazimierz nie potrzebowałby w 12 lat później, dobrowolnie składając koronę, przepowiadać niechybnego upadku Polski, a wnuki ówczesnych panów nie staliby się w 100 lat później niewolnikami innych narodów.

Rzeczpospolita Polska upadła przez niezgodę i występki możnych synów swoich, a z owych ślubów Jana Kazimierza we Lwowie nie spełniło się i nie pozostało nic więcej, jak tylko wybór Najświętszej Panny Marji za Patronkę i Królowę korony polskiej.

Przypominając sobie więc ową wielką chwilę w dziejach narodu naszego: *Konfederację tyszowiecką*, miejmy nadzieję, iż Królowa i Patronka narodu naszego, co obroniła Częstochowę od upadku, a Polskę od zupełnej przed 200 laty zagłady, i dzisiaj czuwa i opiekuje się nami jak wtedy. Miłujmy się tylko wzajemnie, wspomagajmy radą i nauką naszych braci włościan, a pewnie doczekamy się dni lepszych, dni wyzwolenia z niewoli.

---

federacji w Tyszowcach. Mylne to zdanie powtórzyło później kilku historyków, naprzykład Moraczewski w tomie 7., jednakże współczesne kroniki, jak Kochowskiego, Jemiołowskiego i Łosia bynajmniej nie wspominają o Czarnieckim, jako założycielu konfederacji w Tyszowcach. Malarz Eliasz w swym obrazie poszedł za żywą tradycją narodu i za mylnemi wskazówkami niektórych historyków.

Czwarte przykazanie.

Kto ojca, matki swej nie uszanował,
Przy swem nie ogrzał ognisku,
Kto syty, strawy im swej pożałował,
I nie utulił w ucisku...

Biada mu, biada! — tego Bóg odstąpi,
Własna mu chata ochłodnie,
Ziemia mu chleba kawałka zaskąpi,
A ludzie przyjmą obłudnie.

A gdy na świecie kara go ominie,
Sumienie będzie mu wrogiem,
A dręcząc w śmierci ostatniej godzinie,
Na sąd powoła przed Bogiem.

A więc szanujcie ojców swych i matki,
By wam Bóg szczęścił na ziemi,
Dał wam cnotliwe, szanujące dziatki,
I dziećmi przyznał was swemi...

Zal spóźniony.

Powiastka prawdziwa

przez

Aleksandrę Remerównę.

Korzystajmy z chwili póki sprzyja czas,
Bo lata młodości zwykle szybko płyną;
Bo wiosna bez kwiatu gdy odleci nas,
Nadzieje przeszłości z nią razem zaginą!...

W jednem z naszych miasteczek żył przed kilkunastu laty pan Niwicki, piastując dość znaczny urząd przy starostwie. Miał on syna jedynaka imieniem Władysia, który w bardzo młodym wieku, bo licząc zaledwie lat cztery, został na wpół sierotą straciwszy matkę. Ojciec będąc ciągle zajęty obowiązkami po za domem, nie miał czasu zajmować się sam wychowaniem jedynaka; polecił przeto zarząd domowy wraz z opieką nad synem swej siostrze Salomei. Pod jej wzrastając dozorem, uczęszczał Władyś do szkółki ludowej, będącej w tem samem miasteczku. Z żalem jednak powiedzieć trzeba, że Władyś bynajmiej nie okazywał chęci do pracy nad sobą, i prawie żadnych nie zrobił w naukach postępów. Wiele do tego przyczyniły się pieszczoty ciotki, jakiemi otaczała ciągle swego jedynaka bratanka, pozwalając mu często na najdziwaczniejsze zachcianki. Pan Niwicki jako rozsądny ojciec, widząc, że syn więcej męskiego potrzebuje dozoru, odwiózł go wreszcie do Krakowa i oddał pod prawdziwie ojcowską opiekę nauczyciela pana H.

Władyś rozpoczął w Krakowie kurs swych nauk zrazu nienajgorzej, jednak niedługo to trwało, gdyż wkrótce wrócił do swego dawnego lenistwa i wcale nic nie chciał robić, wymawiając się przy każdej sposobności tem, że on swego tatkę tak bardzo kocha, iż nie będąc przy nim z tęsknoty uczyć się nie może.

Jakoż rok za rokiem upływał, a Władyś zamiast kończyć w porządku nauki, siedział po dwa lata w jednej klasie, a nawet pisać i czytać dobrze się nie wyuczył. O innych przedmiotach nie ma już nawet co wspominać. Ojciec martwił się tem bardzo, zaklinał go więc i prosił, aby się uczył, jeśli później nie chce żałować straconego czasu w młodości. Ale Władyś widać nigdy prawdziwie nie uczuł tych słów rodzica, bo poprawa nie następowała. Owszem z rana nie można go było obudzić, żeby wstawał i lekcje sobie powtarzał, gdzie tam, on nigdy prawie nie wiedział nawet co ma zadane, i szedł najczęściej zaspany i nieprzygotowany do szkoły. Nie minął też prawie ani jeden miesiąc, żeby na niego nie przychodziły zażalenia ze strony nauczycieli.

Podobnem postępowaniem doprowadził Władyś w końcu do tego, że ojciec straciwszy przez lat sześć nie małą sumę pieniędzy na jego bezowocną naukę, musiał go wreszcie odebrać i przywieść do domu, bo Władysia więcej do żadnej nie chciano przyjąć szkoły.

Osądźcie też dzieci, czy Władyś czynami dowiódł tej wielkiej miłości ku ojcu, o jakiej często wspominał. — **Kochać a kochać to wielka różnica, prawdziwa miłość zasadza się właśnie na tem, byśmy nie sobie, lecz osobom ukochanym przez nas, dogadzać pragnęli, każdą ich myśl odgadli, życzenia nawet przeczuli.** — A jakże to wszystko wypełnić nam jest łatwo względem rodziców, których wszystkie chęci i pragnienia na wskróś przejęte są miłością ku nam, oni żyją naszem szczęściem, a cnota nasza i postępy w naukach są bezwątpienia największem dobrem, jakiego pragną na ziemi. Ale kiedy dziecko, tak jak Władyś, działa sprzecznie z wolą rodziców, kiedy zamiast postępów w nauce i cnocie, jest leniwe i niedbałe, a często i nieposłuszne, czyż o takiem dziecku można powiedzieć, że prawdziwie kocha rodziców? Ono jest ciągle przyczyną ich zmartwienia, ruiną ich zdrowia i szczęścia, a więc niczem nie dowodzi tej ku rodzicom miłości...

Kłopoty i zmartwienia ze synem wpłynęły też szkodliwie na zdrowie pana Niwickiego, już poprzednio wątłe i niestałe; jakoż zapadł pewnego dnia w silną gorączkę, a cierpiąc bardzo i w malignie leżąc prawie bez przytomności, ciągle majaczył o zwichniętym losie jedynaka, o jego smutnej przyszłości.

Władyś, którego sumienie teraz dopiero dręczyć poczęło, uciekł w głąb drugiego pokoju, a zakrywszy twarz obydwoma rękami, gorzko zapłakał. Sumienie jego jakkolwiek przez długi czas uspione nie obumarło jeszcze zupełnie, widok cierpiącego ojca przedstawił mu jego winy w całej doniosłości, obudził żal straszny, ale niestety już trochę zapóźno!...

Nadszedł wezwany lekarz, lecz zamiast pociechy, przyniósł nową trwogę i obawy, nie mógł bowiem ukrywać niebezpiecznego stanu zdrowia pana Niwickiego. Choroba rozwinęła się do najwyższego stopnia, a system nerwowy tak był już osłabiony, że najmniejsze wrażenie zagrażało śmiercią. A jakżesz można było usunąć z głowy chorego strzasznie dręczące go myśli i bolesne przypuszczenia na widok syna. Dla tego to Władyś krył się teraz przed widokiem umierającego ojca, on radby się był ukryć teraz przed sobą samym, przed własnem sumieniem.

Za dni kilka nie było polepszenia, choroba pana Niwickiego dużo większe i niebezpieczniejsze przybrała rozmiary. Lekarz zwątpił zupełnie, przywołano więc kapłana, a ten zaopatrzył ojca na drogę do wieczności. Na chwilę uspokoił się chory, nawet nieco lepiej mu się zrobiło, to też korzystając z tego, przywołać kazał syna do siebie, i w te doń odezwał się słowa:

— Dzieckiem małem będąc, zabrał ci Bóg matkę, okropne to nieszczęście i mnie teraz zabija, gdybyś był wzrósł pod jej czułą i rozsądną opieką, nie byłbyś pewnie hańbą mojego imienia, cierpieniem co mi życie truło. Teraz i ja cię odchodzę, nie chcę jednak, by straszna myśl niebłogosławieństwa ojca ciężyć miała nad tobą przez całą pielgrzymkę życia, dla tego przebaczam ci i błogosławię, przyrzeknij mi jednak, że będziesz uczciwym i pracowitym człowiekiem.

Zrozpaczony Władyś rzucił się na kolana, a całując już zimne nogi ojca, wołał w strasznej boleści:

— Ojcze! drogi mój ojcze! syn twój nie przyniesie ci hańby i uroczyście ci przyrzeka być uczciwym człowiekiem, tylko nie osieracaj go jeszcze!

Lecz ojciec już nie słyszał ostatnich słów syna, duch jego w tej chwili odleciał w krainę wieczności. (D. n.)

Las Cazas

misjonarz i obrońca Indjan amerykańskich.

(Dokończenie).

Oburzony codziennym widokiem zbrodni Hiszpanów i niedoli Indjan, powrócił Las Cazas do Hiszpanji, w zamiarze wyjednania u monarchy cofnięcia tego rozporządzenia. Wówczas panował Karol I., jako cesarz niemiecki zwany Karolem V. Właśnie wtedy przebywał on w Niemczech, a w imieniu jego rządy państwa sprawował kardynał Ximenes, odznaczający się zamiłowaniem sprawiedliwości.

Wymowne przedstawienia Laz Cazasa sprawiły, iż wysłano umyślnych komisarzy do Ameryki w celu sprawdzenia oskarżeń kapłana i w danym razie do ukarania winnych. Czcigodny kapłan uczczony przydomkiem „Opiekuna Indjan,“ wraz z czterema innymi, stanowił grono wysłanej komisji. Za przybyciem posłów do San-Domingo, skoro rozeszła się wieść o powodzie ich zesłania, poczęli winni najrozmaitsze miotać oszczerstwa na Las Cazasa. Twierdzili bezczelnie, że on buntuje Indjan, że lud indyjski składa się z samych rozbójników, że gdyby im cokolwiek dano wolności, rzucą się na Hiszpanów i wszystkich wymordują. Twierdzili dalej, że trzeba ich koniecznie zmuszać do pracy, bo to są próżniacy i leniwcy, że się wszelkiemi sposobami opierają przyjęciu wiary chrześciańskiej i że ich w tem utwierdza Las Cazas. O zgrozo! wszystkie te oszczerstwa zostały wymyślone w tym celu, aby się nie pozbawić niewolniczej pracy Indjan, z której osadnicy ogromne osiągali zyski, nie pomnąc na to, że przy tej pracy tysiące bliźnich ginęło codziennie.

Szatańskie plany chciwych osadników powiodły się niestety. Uwierzono ich twierdzeniom i wysłani komisarze nie złagodzili opłakanego losu Indjan, owszem go jeszcze pogorszyli, gdyż osadnicy aby dokuczyć Las Cazasowi, mścić i znęcać się poczęli z tem większą niż dotąd zaciekłością nad biednymi Indjanami. Ci nieszczęśliwi do rozpaczy przywiedzeni, dopuścili się kilku morderstw na „Białych,“ czem przekonano niby komisarzy o ich zbójeckiem usposobieniu. O przyjęciu wiary chrześćjańskiej ani słyszeć nie chcieli, bo do tego zmuszano ich szubienicą i najrozmaitszemi mękami.

Jeden Las Cazas nie upadł na duchu. Natchniony prawdziwą miłością ku bliźnim, popłynął po drugi raz do Europy, aby samemu królowi Karolowi I. przedstawić niesprawiedliwości wyrządzane Indjanom.

Śmiało stanął on przed królem i najpierw jasno i dobitnie wyłuszczył cel swego przybycia, a opisawszy nędzę Indjan i znęcanie się nad nimi Hiszpanów, te wypowiedział słowa: *„Nikt nie jest z natury niewolnikiem, jak niektórzy utrzymują, i Wasza królewska Mość powinieneś uchylić tak przeciwne prawom Boskim rozporządzenia, jeżeli pragniesz aby Bóg błogosławieństwem i chwałą okrył twe panowanie.“* Udowodnił przytem, iż nikogo ni-

gdy przymusem i groźbą nie można nawracać na wiarę chrześcjańską. „Nauczcie ich wprzódy, mówił, miłości bliźniego, i własnym przykładem okażcie wyższość wiary Chrystusa nad pogańską, a wtedy wam uwierzą, ale orężem nie zdołacie w nikogo wpoić miłości ku Chrystusowi.“ Radził wreszcie sprowadzić dobrowolnych osadników z Europy do uprawy pól i plantacji, użyć do ciężkiej pracy wprawionych do tego Negrów z Afryki, a sam prosił o wyznaczenie mu kawałka kraju do założenia kolonji, którą samymi Indjanami zaludnić pragnął, dla okazania, iż przy łagodnem postępowaniu zdolnymi się okażą do przyjęcia wszelkiej nauki i moralności.

Łaskawie wysłuchał król Karol przedstawień czcigodnego kapłana, w skutek czego Las Cazas odpłynął znowu do Ameryki w r. 1520.

Lecz i tą razą chciwi zysków i przewrotni osadnicy zniweczyli jego najszlachetniejsze zamiary.

Po długich zwlekaniach wydzielił nareszcie namiestnik Las Cazasowi pewną przestrzeń kraju dla założenia odrębnej osady, lecz z umysłu przeznaczył taką właśnie okolicę, która do przeprowadzenia jego planów była nieodpowiednią. Wyznaczona dla niego część ziemi graniczyła właśnie z taką hiszpańską osadą, która do tego stopnia była znienawidzoną przez krajowców z przyczyny rozlicznych gwałtów, iż musiano wysłać wojsko, ażeby uśmierzyć wybuchłe powstanie.

Las Cazas więc znalazł tam, gdzie w duchu Chrystusa chciał miłość i pokój opowiadać, Indjan w zawziętej walce ze swymi rodakami. Niepodobieństwem więc było zyskać zupełne zaufanie i miłość krajowców, codziennie przez Hiszpanów setkami mordowanych. W czasie takiego rozjątrzenia i nienawiści wzajemnej, pojedynczy głos kapłana tonął w dzikiej wrzawie wojennej, a towarzysze jego nie mogąc się doczekać końca zaburzeń, pomału się rozprószyli. W tym czasie był Las Cazas ciągle prawie narażony na utratę życia na które właśni jego ziomkowie godzili, widząc go, zawsze występującego w obronie mordowanych Indjan. To też nic dziwnego, iż zapadł na zdrowiu i mimo siły wieku wydawał się starym. Jedynie modlitwa krzepiła jego skołatany umysł i ciągłem czuwaniem znękane ciało. Na kolanach w swej biednej chatce błagał ciągle Wszechmocnego, aby go oświecił i nie dał upaść na duchu.

I prośbę jego Bóg wysłuchał.

Pewnego dnia wśród gorącej modlitwy zjawia się Murzyn-niewolnik i ostrzega go o nowym zamachu jego nieprzyjaciół. Liczni jego przeciwnicy, a właśni rodacy, postanowili go zamordować, — ostrzeżenie Murzyna ocaliło go. Wypadek ten niezmierne wywarł wrażenie na duszę zacnego kapłana, murzyn uprowadzony z ojczyzny, wydarty z łona rodziny, za jego własną poradą przybiega ocalić mu życie.



T[illegible]

Las Cazas uznał w tem rękę Opatrzności, i od tej chwili podwoił swą opiekę nad Indjanami zarówno jak nad Murzynami. Niepewny atoli życia w swej i tak już wyludnionej osadzie, przeniósł się na mieszkanie do klasztoru OO. Dominikanów na wyspie Hispanioli.

W tem cichem odosobnieniu oddawał się modlitwie, nie porzucając obrony nieszczęśliwych krajowców.

Tymczasem wódz hiszpański Cortez zdobył najpiękniejszy i najbogatszy kraj Ameryki, Meksyk. Nieprzeliczone bogactwa tego kraju [illegible] do niego prawie wszyst-[illegible]ników i ściągnęły nowych [illegible] z Hiszpanji. Poczęły [illegible]cieństwa, daleko stra-[illegible]dotąd. Krocie mie-[illegible]legło pod mie-

czem chciwych Hiszpanów. Jeżeli chodziło o zdobycie złota i kosztowności, nie przepuszczano nikomu, mordowano dzieci, kobiety i starców. Piękny i ludny kraj, o obszernych i wspaniałych miastach, jaki zastali Hiszpanie, zamieniono niebawem w pustynię, miasta, świątynie i pałace obrócono w gruzy.

Odgłos mordów na Meksykanach spełnianych, wyrwał Las Cazasa z ustronia klasztornego. Udał się więc tam, aby o ile możności nieść ulgę i pomoc uciśnionym. Tutaj to słowem, czynem i przykładem zdziałał tyle, iż na odgłos wieści, że Las Cazas przybył w jaką okolicę, zbiegały się tłumy krajowców, oddawały się dobrowolnie pod jego opiekę, przyjmowały chrzest i ze czcią słuchały odprawianej przez niego mszy świętej.

Działanie Las Cazasa codzień zbawienniejszy wywierało wpływ, tak, iż nawet ci, co się w niedostępne lasy i góry przed Hiszpanami schronili, za jego namową składali broń i przyjmowali chrześciaństwo. Śmierć zaciętego prześladowcy Indjan, namiestnika Fonseki, ułatwiła dalsze działanie. Następca jego, szlachetny Lojoza, uznał zasługi i poświęcenie Las Cazasa, i zupełnie wolne pole działania mu zostawił, dopomagając we wszystkich zamiarach. Ustały też okrucieństwa i mordy i tylko jeszcze niektórzy osadnicy znęcali się nad krajowcami. Aby i temu zapobiedz, postanowił Las Cazas udać się jeszcze raz do Europy i u króla wyjednać pewne stałe prawo dla Indjan.

Przedstawił on monarsze swoje sławne dzieło: „*Krótkie sprawozdanie o zniszczeniu Jndjan*,“ w którym jako naoczny świadek maluje obraz cierpienia biednego ludu. Śmiałość jego słów sprowadziła najpomyślniejszy skutek, dodane ryciny w okrutniejszem jeszcze świetle okazały opisane okrucieństwa.

Król Karol kazał tedy ułożyć księgę prawa dla Indjan, a przewodnictwo w tej pracy powierzył Las Cazasowi. Wkrótce wykończono księgę ustaw, mającą na celu zupełne oswobodzenie Indjan z pod samowoli rządców Nowego Świata.

Twórca tych praw, szlachetny Las Cazas, został wynagrodzony biskupstwem, i uradowany tak pomyślnym obrotem swych tyloletnich starań, odpłynął do Ameryki po raz piąty, mając już wtedy lat 70.

Pomimo czujności biskupa, który z woli monarchy miał sobie powierzony nadzór w wykonaniu nowych ustaw, przecież nie wykonywano tychże w zupełności. Chciwość nowych zarządców po śmierci Lojoza udaremniła najskrzętniejsze zabiegi Las Cazasa, w każdym jednak razie los biednych Idnjan był obecnie o wiele znośniejszym. Nie mordowano ich przynajmniej bezkarnie, owszem zezwalano na zakładanie własnych osad. Jeżeli nie wytępiono zupełnie pierwotnych mieszkańców Nowego Świata, niezaprzeczenie w tem zasługa czcigodnego biskupa.

Ostatnie dni życia przepędził Las Cazas w klasztorze, umarł licząc 92 lat wieku.

Pamięć jego dotychczas przechowuje się w Ameryce, ze czcią powtarzają jego imię, wiele po nim jako święte relikwie przechowują pamiątek. Ludzie tacy jak Las Cazas, co wszystkie dni i godziny swego życia poświecili dla bliźnich, wypełniając słowa Zbawiciela: „*Kochaj bliźniego jak siebie samego*,“ oby po wszystkie wieki nie wygasły z pamięci ludzkiej, i oby zawsze były wzorem do naśladowania. Cnoty i czyny takich ludzi niech wam zawsze stają przed oczami, a postępując za ich wzorem, nie zboczycie nigdy z drogi prawej, a czyny wasze będą według Zakonu Bożego.

Zagadka.

I.

Pierwsza jest to wielka rzeka,
Tylko od nas zbyt daleka; —
Co nie żyje, a jest w świecie,
W drugiej zgłosce to znajdziecie;
Druga z trzecią, chociaż drobna,
Zbyt do pierwszej jest podobna, —
Gdyż tej samej jest jakości,
Tylko mniejszej obfitości; —
Całość owoc to drobniutki,
Kwaskowaty, lecz milutki. —

II.

Pierwsza z drugą zgłoską korzyść niosą mnogą,
Bez niej bowiem drzewa wcale żyć nic mogą;
Ich zarówno także szewcy używają,
Kiedy dla nas *trzecią* zgłoskę sporządzają; —
Całość, jeżli dobrze Polski dzieje znacie,
W poczcie królów naszych pewnie odszukacie.

Rozwiązanie zagadki Nr. 1.

Kar + na + wał.

Od redakcji.

Od 1. stycznta 1872 roku złożyli na biednych uczniów polskich za granicą się kształcących: 1) Jaś i Fenia P, po 50 ct., razem 1 złr. — Władzio i Karolcia P. po 80 ct., razem 80 ct. z Sidorowa. — 2) Helenka i Stafcia K. ze Śniatyna 1 złr. — 3) Wanda R. z Serwer 1 złr. — Składka z... omych na pierwszym wieczorku muzykalnym w kasynie mi...czańskim od A. K.; J. K.; R. St.; R. Mł.; Sw. Wil. ra... 12 złr. Razem 15 złr. 80 ct.

Z drukarni Kornela Pillera. ... odpowiedzialny redaktor: Aleksander Kisielewski.